

Z Tassa i Morsztyna

665
BARBARA OSTERLOFF

Teatr Narodowy (T. Mały) w Warszawie: KOMEDIA PASTERSKA Jana Andrzeja Morsztyna wg *Amintás* Torquata Tassa. Inscenizacja i reżyseria: Adam Hanuszkiewicz, scenografia: Mariusz Chwedczuk, kostiumy: Xymena Zaniewska. Muzyka do tekstów śpiewanych J. A. Morsztyna: Jan Raczkowski. Premiera 4 XII 1982

O wieczki, rzeczywiście, są. Małe stadko w zagrodzie skubie cierpliwie słomę. Żartobliwy znak, iż właśnie pasterską, a nie żadną inną oglądamy komedię. Podobnych znaków jest w przedstawieniu więcej: autentyczna trawa wyściełająca przestrzeń gry, siano, na którym można po-baraszkować, i beczka z wodą, gdzie Tyrsis łączy kąpiel. Taką, podszytą dwojcem, „naturalną” scenerię znamy z *Miesiąca na wsi* Turgieniewa, który Adam Hanuszkiewicz wystawił w Małym kilka lat temu. Tym razem jednak zderzono ją z całkowicie odmienną materią literacką, z poezją, z kunstowymi strofami barokowej opowieści o triumfie miłości. Zabieg, na pierwszy rzut oka, zgoła karkołomny.

Jest jednak coś, co już od pierwszych minut przedstawienia uprawomocnia to zderzenie.

A mianowicie — sposób, w jaki aktorzy rozgrywają tę opowieść o zakochanym pasterzu, którego afektem wzgardziła dumna dziewczyna, by ulec po wielu perypetiach. Kształt niezrównany — pełen lekkości, wdzięku i temperamentu — zyskuje ona w interpretacji Zofii Kucówny. Aktorka gra Dafnidę, niemłodą już, ale jeszcze powabną pasterkę, najbardziej doświadczoną w miłości z wszystkich postaci sielankowego dramatu. Gra Dafnidę, a zarazem komentatorkę scenicznych wydarzeń, która — choć udział w nich bierze bezpośredni, nawet rajfurzy — stoi właściwie ponad nimi. Nie tylko dlatego, że — zgodnie z tekstem — góruje nad wszystkimi znajomością życia, ale i z tej przyczyny, że — z woli reżysera — pełni właściwie rolę gospodyni całego wieczoru. To ona, przekazując najdrobniejsze niuanse wiersza, wygłasza pochwałę potężnej i mądrej natury, ona też kieruje wprost do publiczności słowa (zaczepnięte z partii chóru w oryginale):

*Kochajmy — życie nie trzyma
przymierza;
Kochajmy — słońce ginie i
zaś wschodzi;
A nam, jeśli raz zamierzchnie
się w oczach,*

*Klamka zapada i wstąpić się
nie godzi.*

Można je przyjąć za motto przedstawienia, w którym optymistyczna pochwała miłości i życia bierze górę nad wszystkim, co w Morsztynowym przekładzie Tassa naznaczone jest piętnem dramatu. Ani rozpaczy wzgardzonego kochanka, ani krążącego nad nim i nad jego umiłowaną widma śmierci nikt tutaj nie bierze zbyt serio. Podobnie, jak rozsiadanych w tekście aluzji do życia dworu w Ferrarze, do smaku literackiego i obyczajowości epoki. Historia dwóch pocałunków, z których pierwszy zrodził niewinny podstęp, drugi — wzajemny pożar serc, umieszczona została w nawiasie żartobliwego dystansu teatralnej zabawy. Zabawy z tekstem samym i z jego tematem — miłością. Mieści się w niej i swoista mieszanina współczesnych oraz stylowych elementów kostiumów, i mikrofon, po który sięga Tyrsis w duecie z Neriną, i specyficzne podkreślenie rozkładu akcentów wiersza (np. „kochaj się we mnie”). A także — para rzekomych widzów, wyrwanych z foteli siłą prawie i wciągniętych przez aktorów w korowód zamykający pierwszą część przedstawienia. Początkowo publiczność zdaje się dawać wiarę temu, iż ofiarą teatralnego współczesnictwa padła para przeciwnych widzów, i doberio w finale — gdy Marzena Trybala oraz Stefan Lewicki stają do okłasków — rzecz całkowicie się wyjaśnia. Ta zabawa ma jednak

ściśle reguły i granice, które — co miło powiedzieć — respektują wszyscy bez wyjątku wykonawcy, choć może nie każdy potrafi im sprostać z równym powodzeniem. Nie zawodził nieśmiały, a porażony gwałtownym uczuciem Amintás — Jan Frycz obdarzył go chłopięcym wdziękiem, odrobiną zadziorności i komiczną determinacją wzgardzonego kochanka, o którym zarówno sam aktor, jak i widzowie z góry wiedzą, że przecież zwycięży. Jego całkowitym przeciwnictwem, także zewnętrznym, jest jurny Tyrsis Emiliana Kamińskiego, muskulatura i popisem pracy mięśni brzucha wprawiający w niemy podziw zwłaszcza damską część widowni. W porównaniu z tą znakomicie skonstruowaną parą panów mniej korzystnie wypada obiekt westchnień Aminty. Anna Gornostaj jako Sylwia niewiele ma do ofiarowania widowni, poza autentyczną świeżością i urokiem młodości. Brak jej swobody i pewności w podawaniu wiersza, brak umiejętności zaznaczenia lekkiego dystansu, owego pół żartem, pół serio, obecnego w grze większości wykonawców, także Grażyny Szapołowskiej i Marka Robaczewskiego. A ono przecież jest kamieniem węgielnym całego tego przedsięwzięcia z Tassa i Morsztyna. Warto je obejrzeć dla świetności inwencji przypominającej najlepsze przedstawienia Adama Hanuszkiewicza i choćby tylko po to, by posłuchać, jak Zofia Kucówna prawi o... drażniących. ■